

ks. E. J. Martinez de Alegría SCJ

ŁASKA MĘCZEŃSTWA O. MARCINA OD MATKI BOŻEJ BOLESNEJ

Imię określa osobę

W zakonach istnieje długowieczna tradycja zmiany imienia na początku nowicjatu. Jest to symbol oderwania się od świata, po-niekąd nawet zmiany tożsamości rodzinnej. Kiedy mistrz pozwala na zmianę imienia, nowicjusz nabywa nową tożsamość zakonną wyrażoną w treści, jaką niesie ze sobą nowe imię. Nicola Capelli pozostawił nam dwa punkty odniesienia. Pierwszym jest imię Marcin, które nosił również jego ojciec i patron Nembro, rodzinnej miejscowości. Wielki święty z Tuors, pierwszy wyznawca czczony na Zachodzie. Imię Maria Addolorata przypominało sanktuarium pod tym samym wezwaniem, miejsce drogie rodzinie Capelli od niepamiętnych czasów. W tym właśnie kościele przyjął sakrament bierzmowania 9 sierpnia 1920 roku i odprawił mszę św. prymicyjną – 8 sierpnia 1938 roku. Formularz swojej profesji podpisał w następujący sposób: „*Maria sis mihi propria*”, *Br. Marcin Maria Capelli*.

Nembro jest pięknie położoną miejscowością, niedaleko Albino, gdzie znajdowała się szkoła apostołska założona dzięki staraniom o. Dehona, który w ten sposób położył podwaliny pod rozwój Pro-wincji Włoskiej. Pomagał mu w tym ówczesny sekretarz biskupa Bergamo, ks. Roncalli (czasami zwracał się on do sercanów jako ich „założyciel”). Albino znane jest również pierwszym polskim sercanom.

Urodził się 22 września 1912 roku, na chrzcie otrzymał imiona Mikołaj Józef. Był dzieckiem z drugiego małżeństwa Marcina i Marii Teresy Bonomi. W tej ubogiej, patriarchalnej rodzinie przyszło na świat dwanaścioro dzieci. Nie było łatwo utrzymać tak liczną rodzinę, wymagało to wiele zachodu i nieustannej ciężkiej pracy w małym warsztacie stolarskim. Nawet jeśli nie brakowało chleba, to z pewnością nigdy nie było go za dużo. Praca i modlitwa wyznaczały rytm życia rodziny, wspólnie odmawiany różaniec i liczne praktyki pobożności maryjnej były na stałe obecne w rodzinach zamieszkujących tamtejszą okolicę.

Mikołaj był normalnym chłopcem pochodzącym z licznej rodziny, wzrastającym w środowisku, które z godnością znosiło trudną sytuację materialną. W 1918 roku rozpoczął naukę w szkole. Nauka była ważna, ale nie mniej ważne było to, iż ojciec potrzebował pomocy w pracy. Kultura była sprawą bogatych i księży; biedni uczęszczali do szkoły z obowiązku.

Zwyczajne życie w seminarium

W wieku dwunastu lat Mikołaj opuścił dom i udał się do szkoły apostolskiej w Albino. Duża była w tym zasługa miejscowego proboszcza, któremu udało się nakłonić rodzinę, aby wysłała chłopca na dalszą naukę. Ojciec pożegnał chłopca słowami: „Ty odchodzisz, a mnie ubywają dwie ręce do pracy. Ale to nieważne. Idź prosto obraną drogą”. Choć odległość pomiędzy szkołą i domem rodzinnym nie była zbyt duża, to jednak oddalenie od rodziny było faktem oczywistym, zwłaszcza w tamtych czasach. Wszystko było nowe, inne: środowisko, szkoła, koledzy, godziny studium, rekreacje i przechadzki po górskiej okolicy połączone z nawiedzeniami sanktuariów i nieustanna obecność wychowawców, którzy wszystko widzieli i wszystko kontrolowali. Były również dni świąteczne, krótkie wakacje zmieniały nieco jednostajny rytm codzienności wypełnionej długimi godzinami nauki.

Wychowawcy oceniali Mikołaja jako chłopca bardzo bystrego, pilnego w nauce. Szybko stał się wzorowym uczniem, co potwierdzał również po rozpoczęciu nauki w Bolonii. Trafiały się także dni szare, mgliste, wilgotne i zimne. Również w sercu Mikołaja pojawiał się smutek, zwłaszcza po śmierci ojca, kiedy rodzina utraciła spokój i pewność jutra.

Z grupy 46 chłopców, którzy rozpoczęli naukę w Albino, pozostało 16. W takiej liczbie rozpoczęli nowicjat w Albisoli, przy sanktuarium Matki Bożej Pokoju. Był to rok zastanawiania się nad sobą, milczenia, modlitwy, poszukiwania woli Bożej i postępu na drodze rozwoju wewnętrznego, zgodnie z charyzmatem i przykładem o. Dehona, którego pamięć była ciągle żywa pośród jego synów duchowych (o. Dehon zmarł 12.08.1925 roku). Pod opieką Matki Bożej Mikołaj, który przybrał nowe imię, czynił coraz większe postępy i nabierał pewności siebie. Przygotowywał się do przyjęcia święceń. Miał zostać kapłanem Najświętszego Serca Jezusowego, otwartym na ludzi i ich problemy, ożywianym głębokim pragnieniem podjęcia pracy misyjnej.

Profesję zakonną złożył 23 września 1930 roku, z miłością ofiarował Bogu swoje życie wypełnione milczeniem, medytacją, licznymi pracami; życie poddane bacznej kontroli kierownika duchowego, jak to było w zwyczaju w tamtych czasach. Niekiedy, w czasie rekreacji, pozwalał sobie na swobodniejsze zachowanie, ale nie zdarzało się to zbyt często.

Godzina misji i woli Bożej

Do Seminarium Misyjnego w Bolonii przybył 6 października 1930 roku. Rozpoczął naukę w liceum i studia filozoficzne. Był szczęśliwy, spotykając na nowo swoich kolegów i przyjaciół. Rozpoczęły się lata, które jego biograf Otorino Calgaro określa lakonicznie: „nauka – szkoła, szkoła – nauka”. „Panowie filozofowie”, jak ich nazywano, codziennie chodzili na wykłady do seminarium

diecezjalnego Benedykta XV (abp Bolonii Giacomo della Chiesa, wielki przyjaciel o. Dehona i wielki nasz dobroczyńca). Krótco po przybyciu do Bolonii natura zgotowała im niezwykle powitanie: rozpoczął się trwający ponad miesiąc czas trzęsienia ziemi, wystawiając na poważną próbę wytrzymałość nerwową całej wspólnoty. Pewnego ranka, w czasie rozmyślania, kiedy przełożony dał głośny znak do powstania, wszyscy uciekli w popłochu z kaplicy. Opowiada o tym o. Belda, Hiszpan, który w tym czasie był studentem w Bolonii.

Zapiski duchowe z tamtego czasu ukazują nam, jak głębokie życie wewnętrzne prowadził Marcin Maria Capelli: „Maryi Dziewicy Bolesnej poświęcam całego siebie. Ofiaruję Jej również moją śmierć, w jakikolwiek sposób miałaby ona nadejść. Błagam Cię, o Matko moja, bądź mi matką, prowadź mnie drogami Serca Jezusowego, uczyni mnie mocnym na ciele i duszy, uczyni mnie gorliwym i świętym misjonarzem” (27.03.1931). Gotowość wyrażona w tym dniu została przez Boga przyjęta. Stało się to w miejscowości Pioppe di Salvaro, kiedy nie opuścił ludzi stojących w obliczu śmierci, pozostał z nimi do końca.

Powołanie misyjne Marcina zrodziło się i wzmacniało w czasie pobytu w domach formacyjnych, zwłaszcza w nowicjacie i seminarium. Prowincja poszukiwała w tym czasie miejsca do założenia własnej misji. Zgłosił gotowość wyjazdu do Chin, jednakże założenie tam misji okazało się niemożliwe, podobnie stało się w przypadku Etiopii. Udało się natomiast założyć misję w Argentynie. To właśnie tam rozpoczął swoją działalność misjonarską o. Longo, zanim udał się do Konga.

Marcin był moderatorem seminaryjnego kółka misyjnego. Nie wiemy nic o jego ewentualnych kontaktach z o. Longo. Miał okazję wysłuchać opowiadań o. Luigi Zilani, misjonarza z Meksyku (12.12.1931), który przeżył rewolucję meksykańską i przywiózł ze sobą splamione krwią relikwie świadków Chrystusa, którzy umierali z wołaniem na ustach: „Niech żyje Chrystus Król!”. W swoim dzien-

-niku zapisał: „Dziewico meksykańskich męczenników, pozwól mi, abym i ja pewnego dnia został męczennikiem Chrystusa Króla i Twoim, Dziewico Niepokalana”.

W dzień święta Niepokalanego Poczęcia 1932 roku zapisał: „Tyl-ko od Niej oczekuję wszelkiego dobra; Ona wyprosiła mi u Jezusa łaskę powołana zakonnego, kapłańskiego i misyjnego”, kończy zaś słowami: „Pewnego dnia, o Matko, spotkam Ciebie przy łożu męczeńskiej śmierci. Tak, na zawsze pozostanę Twój, cały Twój, Twój syn”.

Nazywano ich ojcami

Przed rozpoczęciem studiów teologicznych seminarzyści przez rok sprawowali funkcję prefekta studiów. Prefekt żył bardzo blisko młodszych studentów, był dla nich po trosze wszystkim: nauczycielem, wychowawcą, starszym bratem i zwracano się do niego „ojcze”.

Rok szkolny 1933-1934 Marcin Maria Capelli spędził w Albino, blisko domu rodzinnego. W tym też roku umarła mu matka. W tym bolesnym doświadczeniu zwracał się do Maryi słowami św. Teresy: „Teraz, Maryjo, Ty jesteś moją matką. Odnawiam moje zawierzenie Tobie”. Chociaż nie był najstarszy w rodzinie, musiał zająć się jej sprawami po śmierci matki. Listy, jakie pisał do rodziny, pokazują jego mądrość i zdrowy rozsądek. Dwie z jego siostr wybrały życie zakonne: Pierina została zakonnicą we Francji, Marta wstąpiła do tego samego zgromadzenia (Siostry Garde-Malades de Notre Dame Auxiliatrice).

Dnia 23 września 1933 roku w wieku 21 lat, po ukończeniu studiów filozoficznych, poczuł się gotowy do złożenia ślubów wieczystych. W tym dniu zapisał słowa: „O Jezu, pragnę wejść do Twojego Najświętszego Serca, pozostać w Nim z całą moją nędzą, aby na wieki wychwalać Twoje miłosierdzie. Niech ono odtąd będzie mi ojcem, mistrzem i panem, centrum mojego życia, jego duszą. Będę Cię miłował i prowadził innych do miłości Ciebie”.

Życie w Bolonii toczyło się swoim rytmem: studia, modlitwa, życie wspólne. Wraz z zakończeniem nauki w zakresie dyscyplin świeckich, przyszły sukcesy w studium teologii.

Wola przełożonych bywa równie nieprzewidywalna, jak nieprzeniknione są drogi Pańskie. Na kolejny rok została mu powierzona funkcja prefekta w seminarium w Trydencie. Również o. Longo cztery lata wcześniej pełnił tę funkcję. W liście do swojej siostry Marcin napisał: „Myśl, że muszę stracić jeszcze jeden rok, świadomość, że dzień pierwszej mszy św. zamiast się zbliżać, oddala się, sprawiają mi smutek. Myślę, że również i wam, którzy podobnie jak ja, z utęsknieniem oczekujecie tego dnia”. W innym miejscu stwierdza: „Raduję się, że mogę wypełnić wolę Pana, pamiętając zawsze, że Najświętsze Serce urządza wszystko dla naszego dobra”.

Jego siostra, Marta, uwolniona od obowiązków rodzinnych, postanowiła uczynić mu swoisty prezent: zostać zakonnicą. Marcin zachęcał ją do głębokiego przemyślenia swojej decyzji. „Jestem ogromnie zadowolony, widząc jak święte żywisz pragnienia”. Zaś do siostry Melodii powiedział: „To nieważne, że jesteście biedni. Wystarczy odrobina pożywienia i bojaźń Boża. Wiem, że uskarżacie się na swoją biedę; dopóki jesteście biedni, dopóty będziecie szczęśliwi, gdybyście, przez przypadek, posiadli wielkie pieniądze, pożegnajcie się ze szczęściem i spokojem”.

Wreszcie na teologii (22.09.1935)

Trzeba było na nowo wrócić do szkoły, spędzać godziny w po-koju nad książką, przesiadywać w bibliotece. Modlitwa, życie wspólne, prace domowe, biuro dobroczyńców, a w tym wszystkim nauka i wyśmienite stopnie. Przełożeni darzyli go zaufaniem, został współpracownikiem czasopisma „Il Regno del Sacro Cuore”. Jednym słowem, prezentował się jako dobry teolog, młodzieniec wysokiego wzrostu o blond włosach, typowy przedstawiciel mieszkańców okolic Bergamo.

Studia teologiczne odbywał z powodzeniem i na trzecim roku otrzymał upragnione święcenia, odbywszy wcześniej wszystkie przewidziane odnowienia, rekolekcje, ćwiczenia liturgiczne i dogłębne przygotowanie wewnętrzne (12.03.1938 – subdiakon; 02.04.1938 – diakonat; 26.06.1938 – prezbiterat). Wszystkie te etapy poprzedzone były rekolekcjami i intensywną modlitwą. O rekolekcjach napisał: „Tydzień spędzony na Górze Tabor w kontemplacji, wpatrywaniu się w chwałę Chrystusa i smakowaniu słodczy Jego miłości”. Na obrazku prymicyjnym umieścił napis: „Będę głosił Twoje Imię moim braciom”. Posłuszeństwo zaprowadziło go jednak sześć lat później na miejsce męczeństwa położone nie w dalekich krajach, lecz na ojczystej ziemi, w Pioppe Salvaro.

Po otrzymaniu święceń i odprawieniu mszy św. prymicyjnej w rodzinnym sanktuarium Matki Bożej Bolesnej 8 sierpnia z niecierpliwością oczekiwał na dzień swojego wyjazdu na misje. Kontynuował studia na IV roku teologii. W tym czasie napisał w liście do braci z Nembro: „Mam nadzieję, że wnet udam się na misje tam, gdzie mnie pośle Pan: do Afryki albo do Chin”. Nieco później: „Nie mam nowych wiadomości, jestem szczęśliwy w naszym seminarium. Oczekuję na wyjazd na misje, do Afryki albo do Chin. Módlcie się w tej intencji; jakaż by to była dla was chluba mieć brata misjonarza”.

Prowincja Włoska otrzymała wiadomość o możliwości udania się do Yunan w Chinach. Ojciec Marcin natychmiast złożył prośbę o wyjazd na misje. Było to w dzień Zielonych Świąt. Jednakże sytuacja polityczna szybko zniweczyła te plany.

Z woli przełożonych nowe zadania

W czasie studiów teologicznych profesorowie dostrzegli wielkie możliwości intelektualne o. Marcina. Istniała potrzeba przygotowania wykładowców seminaryjnych. Postanowiono wysłać go do Rzymu na Biblicum i na studia historii Kościoła. Jego świat miał się

zamknąć do studiów i egzaminów. „Miałem nadzieję, że wyjadę na misje, tymczasem zostałem skazany na pędzenie żywota w sali wykładowej”. Siostra Marta starała się go pocieszać: „Cóż za wartość ma 30 czy 40 lat spędzonych na misjach i dusze zbawiane przeciwko woli Bożej? O ileż skuteczniej możesz ewangelizować, wykonując swoją pracę wykładowcy z radością i ze względu na miłość Boga! Może w jednym roku zdołasz zbawić więcej dusz, niż przez 30 albo 40 lat pracy na misjach. Kto mówi, że nie zostaniesz misjonarzem?”.

Przybył do Rzymu 27 października 1939 roku, do bazyliki Chrystusa Króla wybudowanej staraniem o. Dehona, chcianej również przez Benedykta XV. Tutaj mieściła się również kuria generalna, serce Zgromadzenia. Rzym to miejsce spotkania różnych kultur, licznych uczelni kościelnych. Rzym oznacza uniwersalność i szerokość poglądów, możliwość spotkania wielu osób, zawarcia interesujących znajomości, pogłębienia doświadczeń, zanurzenia się w bogate i otwarte środowisko akademickie.

W tym czasie przyszły kolejne doświadczenia rodzinne. Siostra Pierina zmarła w klasztorze, we Francji. „Poddajmy się z pokorą próbie, jaką Bóg zsyła na nas. Cierpiąc, będziemy umieli pocieszyć innych. Ból wyzwoli nas z egoizmu”, pisał o. Marcin.

Kiedy wrócił do Nembro, aby spędzić wśród swoich kilka wolnych dni, usłyszał pytanie, dlaczego nie wyjeżdża na misje, o których zawsze tyle mówił. Zasmucony, jakby już przeczuwając przewidzianą dla siebie drogę, odpowiedział: „Święta Teresa od Dzieciątka Jezus obchodzi się ze mną trochę surowo. Jeśli jednak rzeczy pójdą dalej takim torem, nasza krew zostanie przelana również we Włoszech”.

Panie, czego ode mnie oczekujesz?

Po uzyskaniu stopnia licencjata z teologii winien był rozpocząć studia biblijne. Jednak kolejny raz wola Boża objawiła się w decyzji

przełożonych. Seminarium w Bolonii pilnie potrzebowało wykładowcy. W dniach 14-15 grudnia 1942 roku siedziba seminarium została przeniesiona do Castiglione dei Popoli. Bombardowania wystawiały na ciągle niebezpieczeństwo mieszkańców seminarium. Po zatrzymaniu się frontu na linii Gotów sercanie ponownie znaleźli się w samym środku niebezpiecznych działań wojennych. Był październik 1943 roku. Ojciec Marcin po raz kolejny wystawiony został na próbę. Musiał zrezygnować ze studiów w Rzymie, aby rozpocząć pracę wychowawcy i wykładowcy we wspólnocie zagubionej pośród gór.

Kontrowersyjne przyrzeczenie Najświętszemu Sercu

W pierwszy piątek grudnia 1942 roku, widząc niebezpieczeństwo grożące seminarium z powodu intensywnych bombardowań pobliskich obiektów przemysłowych, przełożony zaproponował, aby wszyscy domownicy złożyli Najświętszemu Sercu obietnicę: jeśli dom i wszyscy jego mieszkańcy zostaną zachowani od niebezpieczeństwa, „z jeszcze większą gorliwością oddać się studiom, propagowaniu i praktykowaniu nabożeństwa do Najświętszego Serca”. Chociaż o. Marcin przebywał w tym czasie w Rzymie, wyraził swój sprzeciw. Nie podobało mu się ujmowanie całego zagadnienia naszych relacji z Panem Jezusem w kategoriach *do ut des*. Uważał, że każdy sercanin z racji złożonych ślubów zobowiązany jest do gorliwości. Nie mylił się, jeśli uznamy, że nasze życie winno być przepojone postawą zawierzenia i immolacji. Ten temat po dziś dzień jest przedmiotem dyskusji wśród tych, którzy przeżyli tamte dramatyczne wydarzenia.

Rok akademicki 1943-1944 był dla o. Marcina, jako wykładowcy, pierwszym i ostatnim. Włochy przegrały wojnę, na półwyspie wylądowali alianci i posuwali się w głąb kraju. Niemcy zajęły strategiczne punkty. Republikanie i partyzanci dotarli do słynnej linii Gotów.

W Castiglione dei Popoli życie stało się bardzo trudne, brakowało wszystkiego. Ojciec Marcin przygotowywał swoje wykłady z Pisma św. i historii Kościoła. Relacje ze studentami były dobre i serdeczne. Z tego, co można było usłyszeć, przełożeni nie bardzo byli przekonani do tego młodego wykładowcy, który wnosił swoją obecnością nowy klimat otwartości. Szybko nawiązał kontakt z okolicznymi parafiami – w niektórych z nich posługę duszpasterską sprawowali nasi księża. W ten sposób chciał ożywić swojego ducha misyjnego; słuchał ludzi, rozmawiał z nimi, dodawał im otuchy, spowiadał, sprawował msze święte w małych miejscowościach, dokąd wysyłali go proboszczowie.

Z jednej strony odczuwał radość, z drugiej smutek spowodowany zanikiem praktyk religijnych pośród tamtejszej ludności. Przypomnieliśmy z rodzinnego Nembro zwierzał się w słowach: „W miejscowości liczącej 3000 mieszkańców prawie nikt nie uczestniczył w obrzędach *Triduum Sacrum*. Kiedy w Wielki Piątek odprawiałem drogę krzyżową, przyszło około 20 staruszek i jedna młoda osoba. Na zewnątrz kościoła mężczyźni i młodzież bawiła się w najlepsze, jak w inne dni, a był to Wielki Piątek!”.

Jego ubolewania przywodzą na myśl słowa wypowiedziane przez pierwszych naszych rekolekjonistów pracujących w diecezji Soissons prawie sto lat wcześniej. Sytuacja, w jakiej przyszło mu sprawować swoją kapłańską posługę, była szokująco różna od tego, do czego był przyzwyczajony w swoich rodzinnych stronach, w okolicach Bergamo, gdzie kwitła żywa wiara pośród ludu. „Nie dziwi mnie już więcej, że nasze kościoły stały się jaskiniami zbójców. Pan Jezus jest już zmęczony. Zazdrościmy misjonarzom, którzy znajdują lepsze przyjęcie pośród Zulusów w Afryce, niż my pośród chrześcijan”.

Pośród walczących, jak owca między wilkami

Na początku 1944 roku alianci wylądowali w okolicach Anzio. Linia Gotów broniła przejścia przez Apeniny i dostępu do Niziny

Padańskiej. Opuściwszy Bolonię, sercanie znaleźli się w samym centrum działań wojennych, bez nadziei na poprawę sytuacji. Niemcy wyrzucili ich z domu w Castiglione dei Popoli. 6 lipca 1944 roku udali się do Buzzanella, ale i tam nie znaleźli spokoju. Wkrótce nadeszli partyzanci (16.07). Ojciec Marcin był świadkiem aktów odwetu, gwałtów, zbiorowych egzekucji – takich jak ta, która miała miejsce 18 czerwca na placu przed kościołem. Było pięciu skazańców. Ojciec Agostini i o. Marcin uratowali z rąk partyzantów trzech z nich. Dwóch pozostałych, wyspowiadawszy się, uzyskało od o. Marcina obietnicę, że odwiedzi ich rodziców. Ich los był przesądzony. Wierny danej obietnicy o. Marcin odbył wędrowkę pośród gór, aby odnaleźć rodziny rozstrzelanych. Odnalazłszy je, spotkał się z nieprzyjaznym przyjęciem. Ze względu na swój nordycki wygląd został uznany za niemieckiego szpiega. Spotkało go kolejne rozczarowanie, pośród wielu innych, jakich doświadczył w tamtych dniach.

Mając świadomość, że znają go zarówno partyzanci, jak i Niemcy, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego zarówno jemu, jak i wspólnocie, w której przebywał. Zdecydował więc udać się do znajomego proboszcza D. Melliniego, który zaproponował mu spędzenie wakacji w jego parafii i poprosił o pomoc duszpasterską. 20 lipca w towarzystwie dwóch kleryków skierował się do Salvaro. Był tam również pewien salezjanin, o. Elia Comini, jego towarzysz w męczeństwie, który przyjechał w odwiedziny do swojej matki.

Pracę duszpasterską podzielili między siebie. Jak przystało na salezjanina, o. Elia zajmował się młodzieżą, natomiast o. Marcin pracował w miejscowościach rozsianych wśród gór. Spędzał całe dnie, wędrując z różańcem w ręku do odległych miejscowości, pogrążając się po drodze w swoich myślach, realizując swoje misjonarskie powołanie. W oddali mógł dostrzec dzwonnice kościoła w Malfolle, po drugiej stronie Reno, gdzie pracowali sercanie.

W rękach partyzantów

17 września w Montorio obchodzono święto Matki Bożej Bolesnej. Ojciec Marcin na prośbę proboszcza udał się do kościoła, aby spowiadać i wygłosić kazanie. W drodze do kościoła został zatrzymany przez partyzantów. Uwięziony, przesłuchiwany całymi godzinami, został wreszcie uwolniony; zdążył jeszcze dotrzeć do kościoła, aby wygłosić kazanie. Zgodnie z obietnicą złożoną partyzantom wrócił do nich w poniedziałek, aby mówić im o miłości Boga, o tym, że przemoc jest czymś złym, o tym, że zawsze mogą ufać Bogu. 23 września obchodzone było patronalne święto Salvaro. W tym czasie zbombardowano pobliską miejscowość, Pioppe Salvaro.

Co znaczy być posłusznym?

Tego samego wieczoru o. Franzini, w imieniu przełożonego, polecił o. Marcinowi wrócić do Burzanella. Wiadomo już było, że dla partyzantów stał się osobą podejrzaną. Czyż mógł opuścić Salvaro i okolice, gdzie istniała tak wielka potrzeba duszpasterstwa? Czy postanowienie niezostawienia owiec na pastwę wilków było rzeczywiście nieposłuszeństwem? A nawet gdyby odszedł z Salvaro, czy zdołałby odwrócić od siebie podejrzenia partyzantów? Miłość jest ponad posłuszeństwo! Odmówił więc powrotu. Posłaniec wrócił rozczarowany, rozczarowani byli również przełożeni wobec tak ewidentnego nieposłuszeństwa. Ojciec Marcin pozostał sam ze swoim rozdartym sumieniem aż do momentu, kiedy jeden ze współ-braci, o. Cattoi, uspokoił go słowami: „Zostań. Posłuszeństwo nie jest mechanicznym wykonywaniem poleceń. Gdyby przełożeni wiedzieli, w jakich znajdujesz się okolicznościach, pozwoliliby ci pozostać”.

We wtorek, 27 września, otrzymał kolejne ponaglenie z Burzanella. Tym razem dwóch kleryków ostrzegało go, że został wzięty w dwa ognie: nie ufają mu ani Niemcy, ani partyzanci. Musi

wracać! Chcąc wyjaśnić sytuację, zabrał kleryków do dowództwa party-zantów, gdzie miał otrzymać dokument potwierdzający jego bez-stronność, co miało stanowić gwarancję jego bezpieczeństwa. Po raz kolejny odmówił.

Ojciec P. Cattoi utwierdził go w podjętej decyzji. Stan jego ducha dobrze obrazuje napisana w tamtych dniach modlitwa, w której zwracał się do Matki Bożej Bolesnej: „Módl się za nami udręczonymi i słabymi, niszczonymi nienawiścią. Przeczuwamy wielką katastrofę, jaka dotknie naszą Ojczyznę. Wstawiaj się za poległymi na polach bitew. Ci niewinnie polegli są jak ziarno rzucone w glebę. Tobie ofiarujemy nasze łzy i cierpienia. Tobie przedstawiamy naj-wyższą ofiarę najdroższych nam osób. Pociesz nas w każdym na-szym strapieniu. Daj wieczny odpoczynek tym, którzy złożyli swoją ofiarę”.

Zapowiedź zbliżającej się tragedii

Niemcy zrozumieli, że zbliża się katastrofa. 29 września 1944 roku podjęli wielką akcję oczyszczania terenu, zależało im zwłaszcza na zlikwidowaniu oddziałów partyzanckich z okolic Monte Sole. W akcji pomagali im faszysti i zdrajcy spośród samych partyzantów.

Natychmiast po odprawieniu mszy św. wszyscy się rozproszyli: jedni uciekli, inni schronili się na plebani. Około godziny 8 rano nadeszła wiadomość, że w Creda Niemcy dokonali egzekucji wielu osób. Ojciec Elia i o. Marcin postanowili udać się na miejsce z ka-ptańską posługą. Po drodze zostali uwięzieni. Przez cały dzień pę-dzono ich górskimi drogami, bez jedzenia. Razem z ocalałymi świadkami niemieckiego okrucieństwa dźwigali wojskowy sprzęt. Wieczorem dotarli do Pioppe di Salvaro, gdzie zamknięto ich wew-nątrz stajennego budynku. Nazajutrz pojawiła się nadzieja na uwolnienie więźniów. Wstawił się za nimi znany i szanowany przez Niemców p. Veggeti. Niestety, bez żadnego skutku. Jedyne

ustępstwo, na jakie byli gotowi, to uwolnienie dwóch księży. Ich odpowiedź jednak była jasna: „Albo wszyscy, albo nikt”. Gotowi byli umrzeć razem z pozostałymi, zjednoczeni w miłości chrześcijańskiej, w miłości pasterskiej do swoich wiernych.

Padają strzały, wznosi się krzyż

Był dzień 1 października 1944 roku – święto Matki Bożej Różańcowej. Wszyscy byli zmęczeni, wyczerpani brakiem snu, głodni; w południe dostali skromny posiłek. W pewnym momencie żołnierze zaczęli zbierać dokumenty, portfele, zegarki. Uwięzieni zrozumieli, że nadchodzi dla nich mroczna godzina. Zobaczyli wymierzone w ich stronę lufy karabinów maszynowych.

Dla 46 zatrzymanych rozpoczęła się droga na Kalwarię. Ojciec Marcin i o. Elia rozpoczęli litanie do Matki Bożej. Dotarli do wielkiego zbiornika wodnego, z którego woda napędzała turbinę. Było w nim niewiele wody i gruba warstwa błota. Na dno zbiornika zeszła pierwsza grupa wraz z obydwojema księżmi. Ojciec Elia wypowiedział formułę rozgrzeszenia. Padły strzały, ciała zabitych osunęły się na dno. Cisza. Wprowadzona została druga grupa. Znowu padły strzały. Jeden z rannych chwycił się sutanny o. Marcina, który jeszcze żył i, unosząc się nieco, czynił znak krzyża, wypowiadając równocześnie słowa błogosławieństwa i rozgrzeszenia. Potem upadł z rozłożonymi ramionami. Woda uniosła ich ciała aż do Renu i dalej, ku morzu wieczności.

Rok później o. Govaart, który poznał o. Marcina w czasie jego rzymskich studiów, napisał do prowincjała włoskiego, o. Ceresoli (01.10.1945): „Jak to już napisałem w jednym z poprzednich listów, o. Capelli jest prawdziwym męczennikiem; wspominam o nim i o innych naszych męczennikach w ostatnim liście okólnym”. We wspomnianym liście (08.06.1945) czytamy również: „Nie możemy zapomnieć o naszych poległych braciach w ciągu ostatnich 5-6 lat. Gdziekolwiek i jakkolwiek umierali, umierali jako słudzy

Najświętszego Serca, pewni, że w ostatnim dniu sprawiedliwy Sędzia nagrodzi ich koroną sprawiedliwości (...). Są wśród nich prawdziwi męczennicy sprawy Chrystusa i Jego Kościoła, wolności wiary i sumienia: Służyć raczej Bogu, niż ludziom”*

Należałoby odnaleźć w naszym Archiwum Generalnym listy pisane w tamtych czasach przez naszych włoskich sercanów, aby zobaczyć, jakim echem w ich sercach i sumieniach odbiły się wydarzenia tamtych czasów.

Gloryfikowanie działalności partyzantów jest do dziś obowiązującym kanonem poprawności politycznej. Należałoby się jednak zastanowić, na ile ich działania przyczyniły się do podejmowania przez Niemców krwawych akcji odwetowych na ludności.

Po wielu latach, 3 grudnia 1995 roku, diecezja bolońska i Zgromadzenie, jak również wierni z Monte Sole i Nembro, postanowili upamiętnić heroiczne postaci swoich synów, ukazując ich jako wzór wierności obowiązkom pasterskim. Proces diecezjalny został pomyślnie zakończony. Teraz sprawa została przekazana do Rzymu, do Kongregacji do spraw Świętych.

Z języka włoskiego tłumaczył
ks. Zbigniew Morawiec

* Govaart, *Listy okólne*, EDB 1958, s. 378.